№ 19.

Warszawa, dnia 7 maja 1864 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

Cena. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WYJĄTKI ZE WSPOMNIEN W. G.

MOI RODZICE — LATA DZIECINNE — REZYDENCI I SĄSIEDZI.

W roku 1809 we wsi Cerekwi w Bocheńskiem, dziedzicznéj po moich naddziadach, pierwsze ujrzałem dzienne światło. Rodzice moi, byli to ludzie należący obyczajem już do wieku obecnego, bo ojca inaczéj jak we fraku nie znałem, chociaż za swych młodych lat, jak to wspominał nieraz, nosił jeszcze kontusz wojewódzki, pas, żupan i głowę podgalał.

W sali naszego dworca wiejskiego, porozwieszane były portrety przodków moich, w swietnych zbrojach i ferejzach, z obliczami wyrazistemi o surowém spojrzeniu i zawiesistym wąsie. Matrony zaś w robronach i fryzurach. Sama zaś nasza włość Cerekiew była prześliczna. Z pomiędzy rzędu smukłych topoli, wyzierał starożytny dworzec z popwójnym wzniosłym dachem, a na każdym jego rogu, kręciła się za wiatrem skrzypiąca chorągiewka. Sień obszerną ogrzewał zimą i jesienią nieustający w wielkim kominie ogień, a po ścianach wisiały do koła rogi i łby grubszego zwierza, dawne przypominki zwycięztw łowieckich moich praojców jeszcze, bo mój ojciec, nie był wcale myśliwym.

Front domu, zdobił ganek wysoki z herbem misternie wyrzezanym, wsparty na ośmiu filarach mający po bokach cheblowane ławki. Ileż to w tym ganku nie spełniono niegdyś kielichów na strzemienne — i na serdeczne naszych ojców kochajmy się. Dziś tam głucho i pusto, obcy się rozpiera i rządzi. Po środku dziedzińca, majestatyczne trzy lipy, składały ogromny parasol pod któremi ławki kamienne pomieszczono: dalej gołębnik na malowanym słupie, a w końcu zabudowania gospodarskie. W tyle za domem był wielki ogród nie przekształcony jeszcze, z długiemi, ciemnemi, starożytnemi szpalerami. Kwatery poobsadzane kwiatami, wieńczył na przemian wiecznie zielony

bukszkan i i szczypiorek. Całość okalały zielono malowane sztachety, za ogrodem zaś mruczała rzeka Raba często w bardzo kwaśnym chumorze, dalej ciemniła się na widnokręgu nieprzejrzana puszcza Niepołomska, a z drugiéj z pomiędzy poważnych lip i jesionów, wyzierał niewielki modrzewiowy kościołek, do którego na nabożeństwo zawsześmy przez ogród chodzili. Niedawno widziałem tam na ołtarzu, dotąd dobrze przechowaną piękną osłonę z bogatéj materji, którą matka moja wychaftowała i ofiarowała dla Boga Rodzicy na moją intencję gdym przyszedł na świat. Obok tego ołtarza, dwa czarne marmury kryją zwłoki moich dziadów, los pozazdrościł już memu ojcu złożyć swoje popioły obok nich... moje zaś, kto wie jaki wiatr i gdzie je rozwieje? Do lat dziewięciu mego życia, błogie chwile przeżyłem w rodzinnéj zagrodzie, a przecięć wszystko to tak mi żywo przed oczami stoi, jak gdybym wczoraj te lube opuścił strony. Prócz téj włości rodzice moi posiadali i inne dobra za Wisłą, ale nie pamiętam byśmy tam kiedy jeździli.

Ojciec mój, był to w całém znaczeniu tego obcego wyrazu, *un vrai gentilhomme*. Ledwie szesnastu lat doszedł, stracił ojca, a będąc ulubieńcem matki, wcześnie odzierżył majątek i został panem swojéj woli. Młody, przystojny, wykształcony, bogaty, syn kasztelana, obdarzony nad wyraz poczciwém sercem, nic dziwnego że go świat w otwarte przyjął ramiona. Nazywano go dzieckiem szczęścia, a jednak to szczęście nie oziębiło go dla społeczeństwa, lecz przeciwnie społeczeństwo nadużyło nieraz jego zaufania, bo nim trzydziestego doszedł roku życia, piękny i czysty majątek odziedziczony po rodzicach znacznie już pochylił się do upadku. Mimo tego nie mógł się jeszcze namyślić, aby ten swobodny niezależny byt kawalerski, małżeńskim okuć pierścieniem. Mało trudniąc się gospodarstwem, polegał całkiem na oficjalistach, którzy go téż, niemiłosiernie oskubywali.

Po skończonéj kampanji jako porucznik w pułku Wodzickiego, ojciec mój, po kilkoletniéj podróży, wrócił do Krakowa z głową zbogaconą wiadomościami, ale niezmiernie lekką kieszenią.

Brat jego starszy Jędrzéj, człowiek cierpki, skąpy, ale bogaty, namawiał go usilnie żeby się ożenił, i przestał już raz, jak się wyrażał, bałamucić. Długo go ciągniono w tę i w ową stronę, rozmaite przedstawiano partje, ale nadaremnie.

„Serce nie chłopiec mopanie" mawiał mój ojciec — „serce nie chłopiec" — i wykręcał się jak mógł i bujał dalej swobodny. Ale raz przecie tak go starsi przyparli, że przyrzekł ożenić się z panną starościanką W. Nie była to pierwszéj młodości dziewica, ale rodzice pragnęli tego związku i cała rodzina przyzwoliła. Było to około roku 1805. Ułożono tedy dzień solennéj deklaracji, sprowadzono gości mnóstwo na wieś do starostwa, niedaleko od Krakowa; nabite moździerze ustawiono na dziedzińcu, przyrządzono beczki smolne a nawet transparent stosowny do okoliczności; wszyscy się pozjeżdżali, tylko narzeczonego nie było widać. Stryj panny pan Starosta Warecki, w ceremonjalnym stroju chodził od okna do okna z wielką niecierpliwością. Panna widocznie się niepokoiła, mieniła się, bladła, i gdy trzecia odbiła na wielkim w sali zegarze, kuranty przegrały, i wszedł marszałek uroczyście oświadczając że zupa na stole, zdziwienie trudne do opisania ogarnęło całe dostojne a tak licznie zgromadzone towarzystwo.

Stryj jak mógł tłumaczył brata, ale w duszy klął bałamuta. Objad był milczący ale nadziei nie tracono, dopiéro gdy posterunek z rozkazu starosty zważający ze szczytu najwyższego dachu, drogę prowadzącą do Krakowa, dla zmroku opuścił stanowisko i oznajmił poważnie że nikt nie jedzie, obecni goście rozjechali się i z oburzeniem dowiedzieli się w Krakowie, że ojciec mój zamiast na zaręczyny, drapnął sobie pocztą do Wiednia czas zabić.

W parę miesięcy wróciwszy, zastał dla siebie drzwi do wszystkich prawie salonów zamknięte, głośno nawet mówiono o pojedynku. Brat Jędrzéj cały miesiąc nie przemówił do niego słowa, ale ojciec mój nie zważał na to wszystko i śmiejąc się mówił:

— „Mopanie serce nie chłopiec! — lepiéj się zresztą dziś podąsać trochę, jak zrobić siebie i kobietę nieszczęśliwą na całe życie dla widoków przemysłowych."

Wykręcenia się zaś tego od narzuconych mu ślubów, była taka przyczyna. Na kilka dni przed zapowiedzianemi zaręczynami, towarzyszył on bratowéj swojéj pani Jędrzejowéj do klasztoru Wizytek, w celu odwiedzenia zostającéj tam na pensji młodszéj swéj siostry Wiktorji, znanéj mu jeszcze dzieckiem. Podówczas była to już dziewiętnastoletnia dziewica, lecz zwyczajem tamtoczesnym panna opuszczała mury klasztoru wtedy dopiéro, gdy miała uklęknąć do ślubu z tym, którego jéj rodzice za dożywotniego przyjaciela sami wybrali. Skoro się panna Wiktorja w rozmownicy ukazała, ojciec mój pan Adam, zapomniał że za dni parę zaręczyć się miał z bogatą lecz nie pierwszéj już młodości panną — zapomniał wszelkich zobowiązań, tylko sobie pomyślił w duszy:

— „Otóż ta, albo żadna!

I dotrzymał słowa, bo ta była późniéj moją dobrą... kochaną matką...! Ale ileż miał do zwalczenia trudności, bo trzeba wiedzieć że panna Wiktórja widując często w domu matki i siostry swojéj mego ojca, chociaż nie zwracała na siebie jego uwagi, dobrze miała wyryte w pamięci, to piękne, mężkie; otwarte oblicze mego ojca, jego elegancki ubiór, wytworny ekwipaż, i całe jego ujmujące zachowanie się. Po ujrzeniu go zatem w rozmownicy, wieczór klęcząc przed obrazem N, Panny, ukończywszy codzienne modlitwy, z pewną wiarą i niezachwianą wolą pomyślała sobie także:

— „On, albo żaden."

Ale matka panny Wiktorji, a późniejsza moja babka Starościna Zawichostka, więcéj rządząca się rozumem niż sercem, silnéj, niugiętéj woli, traktowała wszystkie swe dzieci według przeszłowiecznych zasad, które zmuszały dzieci więcéj lękać się rodziców, niżeli ich kochać. Znając tedy nadwątlony stan majątku pana Adama, na pierwsze oświadczenie oparła się stanowczo temu związkowi. Popierali ją w tém postanowienia i państwo Jędrzejostwo, a cichaczem szeptano, że familja uradziła, kwoli nierozdrabiania posagów, pannę Wiktorją zakonnemu poświęcić życia, i dlatego dłużéj ją trzymano na pensji u Wizytek, spodziewając się tym sposobem obudzić u niéj wakacje. Inaczéj jednak Bóg rozrządził; z wielkim zatem niesmakiem, przyjęto wiadomość o budzących się przeciwnych sentymentach w sercu powolnéj dotąd panny Wiktorji.

Dom babki mojéj z Załuskich Puszetowéj, był to dom pański nastrojony według prawideł etykiety i obyczaju XVIII wieku. W prawdzie na pozór, trzymano się w nim wszelkich wymagań panującéj mody, ale ów takt, surowa powaga, jednostajność w zaprowadzonych od lat kilkudziesięciu i więcéj jednych i tych samych zwyczajów, ten jakby według zegarka nakręcony codzienny ruch uroczysty wszystkich domowników, ta zresztą cicha, poważna sztywność w obejściu się, tak ze swemi jak z obcemi, przypominały żywo, wnętrze owych gotyckich zamków, o wysokich ciemnych, wązkich oknach, ponurych komnatach i rycerskich salach jakiego średniowiecznego barona. Tu jednak owym wszechwładnym panem, była kobieta przez łacinnika nazywana *hic mulier*, starosta zaś a mój dziad, dobry, poczciwy, z wiecznym uśmiechem, łagodny, cichy, cały zarząd domem, dobrami, dziećmi zdał zupełnie na żonę. On też tylko jeden wspierał życzenia moich rodziców o ile mu przyrodzona odwaga pozwalała, ale cała jego przychylność, nie byłaby uwieńczoną pomyślnym końcem, gdyby ojciec mój nie był wsparty, silnem swem postanowieniem, i nie poruszył wpływu wszystkich swych przyjaciół. Brat mojéj babki, Teofil Załuski, a wreszcie stryj Jędrzéj, zniewoleni wreszcie przez ojca, zajęli się tą sprawą i po wielu naradach tajnych, konferencjach, po paroletniéj konkurencji, babka lubo zawsze niechętnie w ostatku dała przecież błogosławieństwo i jakoś się ten związek skojarzył.

Miłeż bo to i rozkoszne chwile pędzili moi rodzice w pierwszych latach po pobraniu się z sobą. Ojciec urządził się w domu, z całym konfortem czego nie potrzeba go było uczyć. Wiosnę przepędzano na wsi, lato w kąpieli, a zimę przebawiano w mieście lub zagranicą. Ja sam pamiętam jeszcze jak przez sen, gdy ogromną pakowną bombą pomarańczowéj barwy, pięcioma siwemi końmi, za którą szła brodzka bryka trójką w krakowskich chomontach, z garderobą i kuchnią jechałem do wód Trenczyńskich a z tamtąd do Wiednia. Późno dopiero pod koniec adwentu, wracaliśmy na karnawał do świetnego pod owe czasy krakowa. Ale niedługo to trwało.

Ojciec mój, nie nawykł za młodu do gospodarstwa, o co obwiniać go nie można, bo nikt się nie znalazł co by mu doradził, zachęcił, i na drogę praktycznego życia naprowadził. Rodzica stracił nadto wcześnie, a matki był ulubieńcem, zaś doświadczenie codzienne uczy, że z rzadką ci Benjaminowie matek, dobrze się w świecie obrócą. Cały więc ciężar gospodarstwa zdał na komisarza, którego niby kontrolował rezydent domu pan podczaszy Antoni G. daleki powinowały jegomości, figura przeszłowieczna, jaka się napotykała jeszcze pod owe czasy po wszystkich niemal domach możniejszéj szlachty.

Pan Antoni chodził zwykle w szaréj na codzień kapocie, lub białym dymowym żupanie ze skórzanym pasem, kutym, zapiętym na klamrę i juchtowych butach, W dnie zaś świąt uroczystych lub domowéj gali, wdziewał kontusz wojewódzi z amarantowym kołnierzem, biały materjalny żupan, a pod słuckim pasem zawieszał serpetynę na srebrnych rapciach z wyobrażeniem i napisem: *Maria regina Poloniae* z którą kiedyś dobrze się po świecie obracał. Na nogach skrzypiały mu safjanowe buty, w sobotę regularnie golił starannie czuprynę, a w niedzielę podczas procesji, księdza proboszcza zawsze prowadził pod rękę. Przy stole siadywał na samym końcu, niby to marszałkował pilnując porządku między służbą; nadewszystko jednak lubił dzierżyć kluczyki od apteczki, którą już nie matka moja, ale jéj dawna piastunka, stara Rodkiewisia jak ją nazywano, opatrywała we wszelkie zwyczajne ojców naszych przysmaki. Temi to nie

zaniedbał nigdy pan Antoni jak się kto w domu trafił, co nie rzadko się zdarzało, matkę moją w częstowaniu wyręczać, nie zapominając przy tem o sobie. Gdy gość odjechał, podweselony i rumiany staruszek, robiąc ulubione siatki na ptaki, zwykł mi był opowiadać różne przygody z minionego swego żywota, szczególniéj wywinięcie się z niebezpieczeństwa, kosztem jedynie szerokiéj blizny, co mu policzek rozgraniczała na dwie nierówne części.

Drugą charakterystyczną figurą była owa piastunka mojéj matki, a potém ochmistrzyni moja. Pamiętam ją, wysoką, chudą, sztywno się trzymającą, w okularach na długim nosie, w białym na codzień podwitku, a w święto, w wysokim kornecie o jaskrawych wstęgach, w sukni z ciężkiéj materji, jaką dziś tylko na ornatach widujemy, i w trzewikach na wysokich korkach. Matkę moją nazywała zawsze panną Wiktorją, a mnie swoim Albertem, była to poczciwa, jedyna, jakich dziś już ani śladu nie ma, babina. Ona to berłem swem zakreśliła szeroko panowanie, ba na folwarku, w stajniach, w kurnikach, ogrodzie warzywnym i kwiatowym w spiżarni, apteczce, garderobie, a w końcu i w kuchni. Choć poważana powszechnie i szanowana a nawet kochana, stara Rodkiewisia była postrachem nietylko panien służbowych i pokojówek, służby kredensowéj, ogrodnika, dziewek i skotarzy, ale nawet samego pana Antoniego. Najwięcéj jednak ja się jéj bałem, bo chociaż byłem niby to jéj klejnocikiem, oczkiem w głowie, ale jak rodzice odjechali gdzie na dłużéj, to od Rodkiewisi, pani podówczas udzielnéj w obrębie całego domu, a mojéj opiekunki z prawa i czynu, nieraz oberwało się rózgą.

Niemniéj osobliwemi figurami byli najbliżsi sąsiedzi nasi, panowie Kleczyński i Zdzieński. Oba byli właścicielami wiosek niedalekich. Pan Kleczyński miał Bieńkowice nad wisłą z reputacją kapitalisty. Był to człowiek wysokiego wzrostu, nosił się w piernikowym kontuszu i litym pasie, a lubo obywatel i dziedzic, zawsze stał u drzwi wraz z drugim swym sąsiadem Zdzieńskim.

Ten niepomnę już któréj wsi podówczas właściciel, malutki, garbaty w piaskowym kontuszu i jedwabnym pasie, tworzył dziwne przeciwieństwo z sążnistym p. Kleczyńskim. Jak przez sen pamiętam: stoi na stoliku taca *z gdańską* i przekąskami, mój ojciec chodzi po pokoju i opowiada znać zadziwiające sceny z podróży swych za granicą, lub wypadki wojenne, którym nie żałował pieprzyku dodać co umiał doskonale!

Panowie sąsiedzi od czasu do czasu, wykrzyknikami dają świadectwo zupełnéj wiary, w czem utwierdzają ich, częste koleje *goldwaseru*. Kolejki téj szczególniéj przestrzegał p. Antoni, i świadczył i potakiwał ile tylko razy ojciec do niego się odwołał. Co zaś on poświadczał, nie było bezpiecznie nawet miną okazać najmniejsze powątpiewanie. Oryginalny to był dom tych państwa Kleczyńskich. W małym szlacheckim domku, nie grzeszącym porządkiem ani zewnątrz ani wewnątrz, zawsze można było zastać w piérwszéj izbie, panią domu karykaturalnéj grubości, w ogromnym brudnym kornecie na głowie i takimże szarafanie, siedzącą przy kołowrotku i otoczoną półtuzinem prządek. A była to strasznie skąpa imość; raz na tydzień gotowano tam tylko objad, cały zaś tydzień potrawy odgrzywano: pod koniec zaś tygodnia, jeżeli ktoś miał nieszczęście tam zajechać, raczono go już zepsutem całkiem jadłem. Pan Kleczyński mimo skąpstwa, pożyczał z łatwością na niewysokie nawet procenta swoim sąsiadom, wiem że w kalendarzu jego nie na jednéj karcie figurowało i nazwisko ojca mego, *pana na Cerekwi*. Po śmierci Kleczyńskich, Bieńkowice w inne przeszły ręce, a syna jednego widziałem jeszcze w roku 1849 parobkiem dworskim u nowego właściciela, drugi zaś ex kapral od ułanów cesarkich, poniewierał się długo w Bochni po szynkowniach.

Opócz kilku innych sąsiadów w Brzesku mieszkał hrabia Wilchelm Żeleński. Był to dom gdzie i męzkie zbierało się towarzystwo, i on to dał początek ruiny majątkowéj ojca mego, a ogromne gry jakie się tam praktykowały, nie jednę rodzinę do brankructwa przywiodły.

---

* * *

Powiadają że każdy człowiek ma swego móla co go gryzie; ja bym sądził że i społeczeństwa a nawet ludzkość cała podobnemi mólami bywa trawiona, usprawiedliwiającemi ów sentencjonalno przysłowiowy wykrzyknik na czasy i obyczaje. Kiedy w IV wieku powstała gorączka wędrówek w celu wyszukania stałych siedzib, dla koczowniczych dotąd pokoleń, ludzkość niemal cała, takim owładnięta została szałem, że się wstrząsnęła jak morskie otchłanie podczas burzy, i w szalonych podskokach niby huczące bałwany, mknęła naprzód równając wszystko z ziemią.

Kiedy w XI wieku, ogłoszoną została pierwsza krucjata na wydarcie z rąk niewiernych Grobu Chrystusa, historja powiada, że służba w hufcach krzyżowych, zamieniła się w prawdziwą namięt-

ność. Sprzedawano majętności za byle jaką cenę, porzucano warsztaty, handle, role, klasztory, a nawet rozbójnicy wychodzili z nieznanych kryjówek, i błagali jak o największą łaskę, o dozwolenie wzięcia na siebie krzyża i udania się na wojnę przeciw poganom.

Kiedy znów w XVI wieku, Kolumb nadzwyczajną ożywiony odwagą, siłą woli i wytrwałością, zapuścił się w tajemnicze przestrzenie oceanu, i pierwszy z Europejczyków wylądował na wyspę S. Dominika, sądząc ją być owym światem który dziś zowiemy Ameryką, Portugalczycy i Hiszpanie a za niemi i inne narodowości, taką owładnięci zostali manją szybkiego zbogacenia się, że bandami pośpieszali do nowéj ziemi, porzucając mienie pewne, często dostatnie, dla wymarzonych skarbów zamorskiéj krainy.

Wędrówki te, krucjaty i zdobycze nowych światów, kosztowały ludzkość miljony ludzi; czyż więc nie były mólami porządnie ją gryzącemi i trawiącemi?

Dziś, owym malutkim robaczkiem toczącym społeczeństwo ludzkie, jest.... pieniądz. Dla zdobycia go nie ma ofiary którejby nie poniesiono, a tłumy wędrowców ze wszystkich stron świata śpieszące po złoto do Kalifornji, najlepszym dowodem té czci baalowéj nowożytnych pogan. Wprawdzie i dawniéj złoto było duszą świata, ale go pożądano dla użycia często posuniętego aż do obrzydliwości; dziś zaś więcéj pragniemy go dla niego samego, dla téj rozkosznéj myśli, że się posiada tysiące, krocie a czasem miljony. Ta manja napawania się widokiem pieniężnego skarbu, nie tylko nie opuszcza niektórych do ostatniéj chwili życia, ale nawet obudza pragnienie przedłużenia brzęczących rozkoszy nawet w ciszę grobowego dołu.

Niedawno, według doniesienia Tygodnika illustrowanego, po jednym ze zmarłych, znaleziono papierami złp. 300,000 schowane w skrytce umyślnie urządzonéj w dnie trumny, a jaką jeszcze za życia nieboszczyk kazał sobie przysposobić. Stolarz wskazujący z domysłu, miejsce ukrytego skarbu, którego już nawet nadzieję znalezienia zupełnie utracono, miał sobie przyrzeczone złp. 10,000 nagrody, jeżeli wskazówka jaką udzieli pomyślnym zostanie uwieńczoną skutkiem. Domysł odkrył pieniądze, ale sukcessorowie przechodząc w sknerstwie zmarłego skąpca, nagrody odmówili, i obecnie wywiązana ztąd sprawa oddaną została aż pod rozstrzygnienie sądów.

Gazeta znowu Warszawska doniosła, że w początku Kwietnia wydobyto z ziemi paczkę biletów bankowych, zawierających summę około 23,000 złp. Pieniądze te po czteromiesięczném przeleżeniu nasiąknięte wilgocią, zamieniły się w bryły papki papierowéj, gdzieniegdzie tylko zachowujących cechy swéj wartości wynoszące zaledwie kilkaset złotych. Był to podobno owoc wieloletniéj pracy i oszczędności, a chociaż nie każdy, uzbierane kapitały skazuje po swéj śmierci na zatracenie, zawsze to jednak dziwnie charakteryzuje dzisiejsze czasy i usposobienie.

Ludzie wszystko lubiący badać do gruntu, podobnie wstrętne wybryki chciwości, przypisują brakowi prawdziwéj oświaty. A że w myśli téj jednoczy się wszystko, każda zagadka znajduje w niéj rozwiązanie, więc nawet i przemysł przystąpił do wielkiéj spółki szerzenia światła, wprowadzając w wykonanie pomysł nowego zupełnie rodzaju, darzący ludzi możnością bezpłatnego kształcenia się przez czytanie. W tym celu Grand Journal w Paryżu numera swego pisma drukuje na płótnie, każdy z nich po przeczytaniu i wypraniu w ługu przedstawia dwie jakby serwety, wartości téj za jaką został nabyty. Wydawca zatém druk i redakcją pisma prenumeratorom daje darmo, a zyskuje na procencie odstąpionym mu przez fabrykę przy hurtownym zakupie potrzebnego do druku płótna.

Jeżeli pomysł ten okaże się praktycznym, jest nadzieja że w niedługim czasie, zamiast dzieł osobnych będziemy mieli całe sztuki płótna zadrukowane, koszule i prześcieradła przemienią się w książki, księgarnie w składy płótna, chustki w broszury, kołnierzyki w sonety, mankietki wmiłosne ody, a gorsy w bijografje serca. Ciekawym bardzo, czy też choć wtenczas ludzie staną się mądrzejszemi?

Ze świata artystycznego, donoszą nam nader pochlebnie o ziomku naszym fortepianiście panu Włodzimierzu Turze. Winszujemy, powiada dziennik teatralny i muzyczny, p. Turowi występującemu w salonach Erarda. Znakomity ten artysta posiada gust, styl czysty i wytworny; wykonał wśród oklasków całéj sali koncert Riessa i inne znakomite utwory. Wystąpienie powiodło się najzupełniéj.

W nowym zaś Orleanie, na cześć nowo wybranego Gubernatora Hahna, odbył się olbrzymi koncert, w którym śpiewało dzieci 10,000, w orkiestrze grało 500 artystów, a w miejscach silniejszych brzmiały ręczne wystrzały dwóch bataljonów piechoty i huczały salwy pięćdziesięciu dział polowych. Ten wokalno-instrumentowo-sztucerowo-armatni koncert, o ćwierć mili słuchając, nie był zapewne pozbawiony pewnego efektu, ale blisko... z przyjemności można było ogłuchnąć.

Na czternastéj prelekcji w Krakowie, Wincenty

Pol mówił o literaturze u nas powieściowéj, którą podzielił na trzy działy. Pierwszy jest tylko naśladowaniem powieści sentymentalnéj francuzkiéj: drugi jest historycznym; trzeci nakoniec stanowi powieść polityczną, obyczajową i racjonalną. Nie podobna powiada professor, tego ogromu dwóch tysięcy blisko tomów, ogarnąć w jednéj godzinie, chociaż literatura powieściowa jest rzeczą dla nas bardzo ważną; powieść bowiem, jest niejako mostem po którym społeczność doszła do nowych wyobrażeń, drabiną po któréj idea schodzi do powszedniego życia, która jednym końcem dotyka poezji, a drugim historji. Z historji czerpie społeczność doświadczenie, z poezji bierze jéj ideały i oboje przenosi i wciela w obecne rzeczywiste życie.

Szereg sentymentalnych powieści, rozpoczyna u nas księżna Wirtembergska swoją Malwiną. Potém idzie: Pierwsza młodość pierwsze uczucie: Julja i Adolf: Sluby nierozsądne, i faza ta romansu przechodzi wreszcie w ckliwe westchnienia jak Żale Elwiry. Jako przejście do powieści historycznéj, Pol uważa szkołę Walterskotystów. Przeciw jenjuszowi temu, nie wystąpili nawet klassycy i nawet na wzór jego pisali swoje romanse, jak Władysław Łokietek, Pojata. Naśladowanie atoli nie powiodło się i tutaj, osłabiona kopiowaniem obcych rycerzy fantazja, odbiegała własnych dziejów, siląc się na dziwaczne pomysły, nędzne tworzyła zawikłania. Ta faza przejściowo trwała do r. 1830. Skarbek zaczął obficiéj czerpać w czystéj tradycji, a wystąpienie na widownią piśmiennictwa Kraszewskiego, zadało stanowczą klęskę Walterskotyzmowi. Wpływ Kraszewskiego na literaturę jakkolwiek jest ogromny, dotąd nie został jeszcze należycie oceniony. On to z rąk czytelników wytrącił ostatecznie romans francuzki, on jeden rozwinął taką działalność, na jaką gdzieindziéj zaledwie zdobyć się mogą towarzystwa. Wydawał pismo w którém gromadził prace wszelkiego rodzaju, a przytém niezmordowanie pisał swe powieści i tyle innych rozmaitych utworów literackich. Gdyby Kraszewskiześrodkował był swą pracę i siły na jeden przedmiot, jeniusz jego byłby niezawodnie utworzył pomnikowe dzieło; mimo to jednak niewątpliwie zostawi po sobie wielkie imie w narodzie.

Na to ostatnie zdanie zgodzić się nie można zupełnie, bo cała praca Kraszewskiego, w zbiorze swym uważana, już jest pomnikowém, niespożytém dziełem, a wpływu jéj na społeczność nie zniszczy rdza czasu, ani nie wymaże z pamięci zawiść ludzka.

ROZMAITOŚCI.

Kościół S. Wojciecha w Krakowie, zaledwie mogący pomieścić w sobie sto pięćdziesiąt osób, razem z kaplicą błogosławionego Kadłubka, jest jednym z najstarożytniejszych kościołów Krakowa. Założenie jego kronikarze odnoszą do roku 950. W ołtarzu jest obraz S. Wojciecha na tle złoconém, malowany w XVII wieku na drzewie; w skarbcu zaś pomiędzy wieloma pamiątkami, znajduje się pacyfikał z drzewem Krzyża S. Swięty Wojciech w czasie swéj missji apostolskiéj w Krakowie, miał tu przemawiać do ludu i ku czci tego świętego na gruzach dawniejszéj świątyni pogańskiéj, stanąć tu miała pierwiastkowo skromna kapliczka, powiększona późniejszemi dobudowaniami, a z któréj dziś pozostały tylko podwaliny téj części, w któréj znajduje się wielki ołtarz.

Około roku 1225 w kościołku tym kazał S. Jacek: w roku 1440 S. Jan z Kapistranu, miewał tu kazania po łacinie i włosku, które późniéj tłumaczono na język ojczysty. Około roku 1650 nawiedzał go codziennie błogosławiony Michał rodem z Wołoszczyzny, laik przy klasztorze Dominikanów krakowskich, uczony lingwista, oraz słynny rzezbiarz, mechanik i zegarmistrz.

Patronat należał z początku do biskupów krakowskich, późniéj do Akademji, w końcu zaś wieku XVI, kiedy kościół S. Barbary oddano Jezuitom, bractwo literackie niemieckie z kazaniami przeniesiono do kościołka S. Wojciecha. W roku 1611 doktor i professor akademji Walenty Fontani podniósl walące się mury. W r. 1862 gdy stan kościołka zapowiadał rychłą ruinę, zawiązał się komitet w celu odnowy tak pamiątkowéj budowli. Zebrano więc składki złotych reńskich 4724, pokryto cały dach ołowiem i dokonano pilniejsze naprawy. Wydatki jednak przeniosły zebraną z ofiar kwotę i musiano zadłużyć się na rachunek przyszłych wpływów.

Miszna, Gemara i Talmud. Kiedy Juda święty albo książe, potomek Hillela, stracił zupełnie nadzieję odrodzenia Izraelitów, na których szczątki Rzym ciążył całą swą przewagą, wtenczas przyjmując za podstawę religji miłość bliźniego jak siebie samego, i pragnąc swych współziomków obronić przed wpływem grubego materjalizmu, zebrał wszystkie tradycje w pamięci pomiędzy ludem utrzymujące się i ułożył Misznę, czyli prawo podrzędne. Księga ta wywołała mnóstwo tłumaczów i komentatorów, i te w zbiorze swoim składają Gemarę albo wielką glossę która razem z Miszną worzy Talmud czyli księgę teologji. Dwie są

Gemary: Jerozolimska w jednym tomie i Babilońska w 12 tomach zaczęta w roku 427 przez rabina Asse a ukończona przez rabina Jose. Ta jest najsławniejsza i najzupełniejsza. Aby zrozumieć Gemarę, trzeba głębokiéj znajomości języka hebrajskiego, a to z powodu mieszaniny dyjalektów. Talmud obok zdań nadzwyczaj subtelnych, niekiedy nawet wzniosłych, zawiera w sobie dogmata, prawidła karności i wielką liczbę kwestji dotyczących fizyki, medycyny, historji, astronomji, astrologji sądowéj i geografji.

Wazy murrhińskie. Zalecały się szczególnie delikatną pracowitą robotą i niezmierną kruchością. Rzymianie bardzo w nich byli rozmiłowani i przywożąc z Karamanji lub ze środka Partynei, płacili często za nie po 700,000 złp.

Za jednę Neron zapłacił około 20 miljonów złp. a Petronjusz minister jego i towarzysz wszelkich uciech, skazany na śmierć, stłukł podobną wazę kosztującą go blisko trzech miljonów złp. jedynie tylko dla tego, żeby się Neronowi do rąk nie dostała.

Zbytki u Rzymian. Opisy bogactw i zbytków starożytnych panów świata, podobne są do bajek wschodnich, których fantazji, dosyć się nadziwić nie można. A jednak nie są to baśnie. Neron zmarnotrawił półtora miljarda złp. Kaliguta miljard. Domicjan na samo wyzłocenie Kapitoljum wydał 120 miljonów złp. Adrjan na cześć swojéj teści i poprzednika swego darował ludowi niesłychaną ilość wonności, a strumienie balsamu płynęły w teatrach i ogrodach. Heljogabal kąpał się w sadzawkach, gdzie woda była pomięszana z różnemi najwykwintniejszemi i niezmiernie kosztownemi essencjami. Oprócz palca środkowego, na wszystkich innych noszono pierścionki. Perły w wielkiém były poważaniu, kobiety stroiły się w nie, a raczéj obciążały niemi głowę, szyję, piersi, ręce, nawet ubranie. Kaligula pokazywał się okryty cały perłami, i przyozdabiał niemi przód okrętów, podobnie jak Neron swoje łóżka. Jedwab' kupowano w Persji na wagę złota, mimo tego Cezar kazał pokryć teatr swój, namiotem z materji edwabnéj. Kobiety nie ustępowały w zbytkach mężczyznom, nie jedna tak przeciążała się ozdobami, że same klejnoty w które się stroiła, warte były przeszło 14 miljonów złp.

Przy takich zbytkach, przy zupełnym upadku rolnictwa, przy sprowadzaniu wszelkich płodów ziemskich z podbitych krain, Rzym musiał chylić się do upadku, i upadł właśnie wtenczas, gdy zdawał się być najpotężniejszym.

M O D Y.

Paryż 28 Kwietnia 1864 r.

Wiosna na dobre rozwinęła się w Paryżu, zarzucono zupełnie ciepłe okrywki, a w miejsce ich ukazują się paletoty, rotondy i inne lekkie okrycia. Z tych najwięcéj daje się widzieć jedwabnych paletotów, przybranych pasmanterją lub gipiurą. Wszystkie w ogólności są krótkie do kolan, lekko wcięte do figury. Ubranie stanowią najczęściéj klapki z pasmanterji na mankietach, zakończone u dołu grelotkami, takież epolety na ramieniu, i kieszenie po bokach. Kołnierzyk wyłożony mały, w formie marynarskiéj objęty frendzelką z grelotek. Niekiedy z tyłu w miejsce stanu dodają takież klapki tworzące niby kieszenie. Rękawy ścięte do łokcia, zwężone bywają u ręki. O ile w ozdobach tych paletotów panuje wielka rozmaitość o tyle długością i kształtem wszystkie zbliżone zupełnie do siebie. Pasmanterje zwane Point d'Espagne, bardzo w tym roku używane, zalecają się delikatnością wyrobu, przez co zupełnie podobne są do gipiury.

Widać także wiele paletotów takich samych jak spódniczki. Najwięcéj noszą popielatych w rozmaitych odcieniach, naszywanych materją lub pasmanterją czarną. Widzieliśmy bardzo ładny z alpagi popielatéj, naszyty cztery razy aksamitką czarną na palec. Pomiędzy tém spadały na dół pukielki z podwójnéj aksamitki, obszyte wkoło wązką koroneczką. Od najwyższego rzędu aksamitki szła także koroneczka w górę. Paletocik u dołu tak samo był przybrany, równie jak mankiety i epolety u rękawów. Z przodu po każdéj stronie naszyta była dwa razy aksamitka, a między nią rząd czarnych guzików.

Inny paletocik także popielaty, z wyrobu wełnianego z jedwabiem miał na każdym brycie naszytą piramidę, piramid takich naszytych do koła paletota było pięć. U dołu spódnicy na każdym brycie takież same było ubranie. Po bokach aksamitka szeroka na dwa palce, w poprzecz węższa o połowę obszyta wąziuchną koroneczką, guziki szmuklerskie otoczone tąż samą koroneczką, która obejmuje aksamitkę.

Wiele sukien wycinają u dołu w okrągłe zęby. Uważaliśmy takie z alpagi czarnéj, objęte u dołu plecionką fijołkową. Nad tém szła takaż plecionka naszyta cztery razy także w zęby.

Z wyrobów letnich na suknie najwięcéj widać wełnianych w popielatym lub szarym kolorze. Jedne z nich zupełnie gładkie, inne w drobną

czarną krateczkę lub w podłużne paski. Przytaczam tu nazwiska tych wyrobów.

Linos de laine, podobne do gęstego bareżu, połyskujące, gładkie lub w czarną cienką krateczkę.

Foulard de laine, popielaty w czarną kratkę wyrób gęściejszy od poprzedniego.

Crêpe Yack, podobny także do gęstego bareżu gładki lub w kratę.

Bengale popielaty, wyrób z wełny i jedwabiu, gęsty jak płótno, gładki.

Crêpe Thibet, gęsty bareż w podłużne pasy czarne na popielatém.

Alpaga plumetis, przerabiana w czarne muszki jakby haftowane atłaskiem.

Sablé Tunisien, na tle popielatém jakby posypany czarny piasek.

Foulard Javanais, wyrób popielaty mieniony z czarnym, podobny do alpagi.

Fular jedwabny czarny, w fijołkowe liście lub bukieciki.

Fular popielaty w cienkie czarne gałązki.

Nowości Zagraniczne.

Le Follet. Pierwsze wiosenne suknie ukazały się fularowe, lekkie wełniane *poil de chèvre* w paski ogólnie się podobają. Noszą je zazwyczaj na tle popielatym w rozmaitych odcieniach, albo na tle *havanna*. Odcienia popielate najmodniejsze w tym roku są: kolor stalowy, srebrny, dziki i blado popielaty zwany *gris poussière*.

Do większego cokolwiek ubrania służy powszechnie fular. Najmodniejszy ma tło popielate lub havanna w drobniuchne paski podłużne, czarne a na tém posiany rzucik. Popielaty fular w czarne szersze lub węższe paski, bardzo się też podoba.

W ubraniu sukien u dołu ta zachodzi zmiana, że garnirunek nie daje się nad obrębem, lecz u dołu spódnicy. Rękawy utrzymują się wązkie.

Przytaczamy tu parę sukien wiosennych.

Suknia popielata jedwabna, u dołu wolant fałdowany w odstępach, w wpuszczane fałdy. Nad nim aksamit naszyty w krzyże maltańskie. Stanik gładki przybrany odpowiednio, naszycie tworzy wachlarz.

Suknia jedwabna czarna, z falbanką fijołkową w głębokie fałdy z główką. Wolant ten nie ciągnie się jednostajnie dokoła sukni, ale dawany w odstępach półłokciowych, to jest idzie bryt jeden z fałdowanéj materji, zajmującéj około pół łokcia, a potém takiż sam odstęp z gładkiéj sukni. Na główce wolanta dana pasmanterja. Baskina przybrana tak samo węższą falbanką, równie jak żokeje i mankiety u rękawów.

Inna suknia czarna, przybrana u dołu w ukośne kwadraty z materji hawanna. Kwadraty te *losanges* dane w ten sposób że jeden zachodzi cokolwiek na drugi, każdy kwadrat wkoło naszyty brzegiem czarną gipiurą, w środku ozdobiony rozetką z pasmanterji, z małym kwaścikiem. Przód stanika przybrany czterema kwadratami dwojakiéj wielkości, które tworzą wachlarz. W górze rękawa, jeden kwadrat tworzy epolet, u dołu zaś trzy mniejsze oznaczają mankiet.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia wełniana z *moheru* ozdobiona u dołu aksamitką czarną albo wstążeczką w deseń grecki. Stanik gładki zapięty na guziki czarne. Rękawy paltotowe. Chustka czarna kaszmirowa z wrabianym jedwabnym szlakiem. Kapotka jedwabna podpięta blondynką i kwiatami polnemi.

Figura 2. Suknia jedwabna ciemno zielona, ubrana czarnym aksamitem z gipiurą. Kapotka biała jedwabna z piórem.

Figura 3. Suknia z popielatéj popeliny, naszyta u dołu szafirową aksamitką. Pasek postyljoński aksamitny, przyozdobiony kwaścikami jedwabnemi. Toczek aksamitny szafirowy, z białém piórem.

KORRESPONDENCJA.

Pani M. Gre. Od kupna nut pozostaje złp. 1 gr. 17. Pani Kon. Zału. Kapelusze okrągłe słomkowe, można przerobić na świeży fason, za opłatą złp. 6 gr. 20, do 8 złp. Paltocik z madrasu kosztuje złp. 33 gr. 10, burno od złp. 50 do 66 gr. 20.— Pani Sabinie Wojni. Popelina jedwabna szeroka 6 ćwierci kosztuje po złp. 10 łokieć, wełniana bywa od 5 do 7-miu złp.— Pani Julji Gra. Na formy przysłać prosiemy złp. 6. Na mszę S. w Częstochowie złp. 20 odebraliśmy od K. Brzos.— Pani R. Toles. w Kołenczynie pod Brześciem Kujawskim, Krzyż z postumentem i wyrznięciem liter, kosztować będzie od złp. 100 do 133 gr. 10, mniejsze zaś można dostać za złp. 66 gr. 20. — Panu Głęb. w Lublinie. Woda toniczna i Pomada, żądane przez Niego, znajdują się u p.p. Śniechowskiego i Kocha fryzerów, po otrzymaniu zaś na takowe pieniędzy, nieomieszkamy natychmiast przesłać.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 19 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 7 Maja 1864 roku.

JAN HALIFAX,

POWIEŚĆ M[rs] MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

— Janku czy nie widzisz w tém niebezpieczeństwa? powiedz!

— Uspokój się kochanko!

— Nie podobna! przypomnij sobie Karolinę.

— Nie o nią tu idzie, ale o młodą panienkę którą znamy z jak najlepszéj strony. Ktokolwiek był jéj ojciec, mieszka z nami od pół roku, i w niczém nie zawiodła naszego zaufania.

— Dałby Bóg aby jéj stopa nie przeszła była naszych progów, rzekła stanowczo Urszula. Ale póki czas, musiemy ją oddalić i to jak najspieszniéj!

— Matko! zawołał Artur, błagalnie.

Urszula skamieniała.

— Matko, mówił Artur, jesteś niesprawiedliwa, okrutna, ona nie odejdzie, nie, ona nie odejdzie.

— Arturze, śmiesz tak mówić do matki?

— Tak ojcze, na wszystko się raczéj odważę niż....

— Stój zuchwały!... Zastanów się nad tém co mówisz, przerwał ojciec surowo kładąc rękę na ramieniu młodziana, i spojrzał na niego groźnym wzrokiem.

— Nie Janku! nie gniewaj się na niego. przerwała Urszula z przerażeniem. On nie winien. Biedne dziecko moje!....

Na widok matki zalanéj łzami, Janek objął żonę ręką i posadził ją w krześle. Drżała cała jak listek.

— Widzisz Arturze ileś przewinił. Czy się godziło tak zranić serce biednéj matki?

— Nie chciałem tego, odrzekł młodzian. Pragnąłem tylko żeby była sprawiedliwą dla osoby którą cenię, którą szanuję, którą...... kocham!

— Którą kochasz?

— Tak matko, tak ojcze, ja ją kocham, i mam zamiar ją zaślubić.

Artur wyrzekł te słowa z zimném postanowieniem. Uczucie wykarmione w milczeniu, głębokie znać było i silne. Rodzice spostrzegli to, i smutno spojrzeli po sobie.

— Dziwi nas to, rzekł ojciec, czemużeś się taił przed nami.

— Sam nie znałem dokładnie stanu serca mego, niedawno dopiero.... szepnął młodzian rumieniąc się i spuszczając głowę jak winowajca.

— Czy panna Sylwer wie o tém?

— Nie!

— Dobrze odparł Janek po chwili zastanowienia, postąpiłeś sobie, jak człowiek szlachetny winien postępować względem kobiety, i jak dobry syn względem rodziców.

Artur ośmielony temi słowy podał rękę matce, lecz ona w gwałtownéem wzruszeniu, była prawie bezprzytomną.

— Ojcze! rzekł Artur, przeczuwając że serce ojca lepiéj go pojmuje.

— Cóż chcesz mój synu?

— Ty także byłeś młody....

— Tak jest odrzekł ojciec poglądając tkliwie na młodziana, nie sądź abym był obojętny na twoje cierpienia. Żałuję tylko żeś działał z takim pośpiechem.

— Ojcze! tyś nie był starszy odemnie, kiedyś pojął matkę w małżeństwo.

— Tak, ale okoliczności były całkiem odmienne Znaliśmy się dobrze z twoją matką. Miłość nasza przebyła ciężkie próby. Nie działaliśmy wcale na oślep. Nie Arturze, miłość moja nie powstała w jednéj chwili. Czciłem twoją matkę. nad wszystkie kobiety, ukochałem ją całą duszą.

— I ja tak kocham Ludwikę, oddałbym życie dla niéj, zawołał Artur z uniesieniem.

W téj chwili ktoś zapukał do drzwi. Pani Halifax, zerwała się z krzesła, przekręciła klucz w zamku.

— Nie wolno tu wchodzić zawołała silnym głosem. Nim zdążyła zamknąć drzwi, niewidzialna ręka wrzuciła list do pokoju. Pani Halifax podniosła go i przeczytała. Artur poznawszy pismo, porwał papier z rąk matki.

List zawierał dwa słowa: panna Sylwer oznajmiała, że chce jutro opuścić Beechwood. Podpisała się Ludwika Eugenja d' Argent.

— Jutro! zawołał Artur z rozpaczą, chce jechać jutro! nie dowie się nawet że ją kocham. Matko zniweczyłaś szczęście moje, nie przebaczę ci tego nigdy!

— Straszne to było słowo, boleść gwałtowna odbiła w postaci Urszuli; Janek przybiegł do niéj i zatrzymał w objęciu chwiejącą. W krótce jednak jak czuła matka zapomniała o sobie, mówiąc:

— On sobie zaszkodzi! on jeszcze słaby, puść mnie do niego Janku, zaklinam cię, błagała drżącym głosem, i zbliżyła się do młodego szaleńca.

— Uspokój się Arturze, rzekła ujmując go za rękę, chodź tu usiądź przy matce twojéj.

Artur usiadł, spojrzał na matkę. Oczy jéj jaśniały tylko miłością i cierpieniem, nie było w nich już gniewu. Widząc to przyszedł do siebie.

— O matko, matko! zawołał zalewając się łzami, przebacz mi! jam tak nieszczęśliwy!

Matka uścisnęła go, i przytuliła do serca.

— Ojcze! chodź! rzekła po chwili milczenia, podaj mu rękę, powiedz że mu przebaczamy, że może kiedyś.... Nie śmiała dokończyć, nie pewna co postanowi Janek.

— Kiedyś powtórzył ojciec, kiedyś Artur przekona się sam, że nie mamy nic droższego na świecie, nad szczęście dzieci naszych.

Oczy Artura błysnęły radością i nadzieją.

— Ojcze! zawołał, czyżbyś się zgodził....?

— Nie mówmy nic do jutra rzekł ojciec z uśmiechem.

Jutro rano zobaczemy co należy uczynić.

Co do mnie, bynajmniéj nie wątpiłem o postanowieniu Janka i Urszuli.

XXXV.

Późno w noc, kiedy siedząc przy kominie rozmyślałem o tém co zaszło, pani Halifax weszła do mego pokoju.

Zapytała mnie jak zazwyczaj czy mi czego nie trzeba, potém przystąpiła do komina, i stała długo w milczeniu.

Podałem jéj krzesło.

— Dziękuję ci nie będę siedzieć, już zapóźno! Fineas, rzekła przystępując wreszcie do rzeczy, ty najpierwszy wstajesz w całym domu, czy mogę ci dać polecenie?

— Do kogo?

— Do niéj.......

— Cóż mam jéj powiedzieć?

— Powiedz po prostu żeby nie opuszczała Beechwood, zanim rozmówi się z nami.

— Czy nie lepiéj napisać parę słów? zapytałem.

— Ja nie mogę.... nie mogę, odrzekła Urszula z boleścią. Zmęczona jestem!.... już tak późno..

— Czyście co uradzili?

— Tak jest!

— Tak powtórzyła po chwili stanowczo, Janek utrzymuje że jest obowiązkiem naszym, dać poznać pannie Sylwer uczucia Artura. Jeżeli odtąd za rok uczucia te wcale się nie zmienią, jeżeli syn nasz poprzestanie na małym dochodzie jaki mu zapewniemy, wtedy pozwolemy na małżeństwo. Nie oddali się bardzo od nas, dodała z ukrytém zadowoleniem; co do panny Sylwer, ona sierota, sama jedna na świecie! poprzestanie na małym. Janek odda Arturowi, fabrykę w Norton-Bury. Mogą jak my niegdyś zamieszkać w starym domu, w naszym kochanym starym domu!

I wspomnienie lat młodych złagodziło boleść biednéj matki. Korzystając z tego jéj usposobienia przypomniałem święte prawo, że dzieci nie mogą wyłącznie żyć dla rodziców.

— Prawda, odrzekła, masz zupełną słuszność; ale cios tak był nieprzewidziany. Zresztą dobrze się stało. Janek ocenia tę kobietę, lubi ją. Co do mnie dodała z uśmiechem, może kiedyś przezwyciężę się o tyle, że będę dla niéj dobrą matką.

I odeszła spiesznie. Słyszałem jak się zatrzymała u drzwi Artura, weszła nakoniec do swego pokoju, po czém głębokie zapadło milczenie.

Wstałem bardzo rano, gdym wyszedł, panna Sylwer była już w sieni. W kapeluszu na głowie, odziana ciepłą chustką, poznosiła sama część rzeczy swoich. Z niemałą trudnością namówiłem ją aby zaniechała zamiaru.

Biedaczka! porzuciła już tę zimną obojętność w którą odziewała się jak w zbroję przed pociskami świata, sama nie wiedziała co czynić, to błagała abym ją puścił, to znów pragnęła zostać jeszcze.

Po raz pierwszy spostrzegłem, że pod tą zimną powłoką, bije gorące i szlachetne serce.

W tém drzwi od bibljoteki nagle się otworzyły. Silny rumieniec wystąpił na jéj lica.

Był to Edwin. Od niejakiego czasu wstawał bardzo rano, oddany nauce matematyki, zdziwił się mocno zobaczywszy mnie z panną Sylwer.

— Skądże te tłomoki? zapytał, wszakże ona nie jedzie?

— Nie! uprosiłem ją aby została. Proś ją i ty Edwinie.

Był to młodzian, rozważny i nader przenikliwy, a lubo nie wiedział co zaszło, byłem pewien że domyślał się wszystkiego.

Edwin przystąpił do młodéj nauczycielki podając jéj rękę.

— Zostań pani, rzekł, błagam cię o to!

Słowa te ostatecznie przełamały jéj opór.

Zostawiłem ją z Edwinem, sam zaś poszedłem do ogrodu.

Sniadanie odbyło się smutno. Artur wcale nie przyszedł. W pannie Sylwer uważałem niezwykłą pokorę i słodycz. Łzy kilkakrotnie zachodziły jéj oczy, a gdy wszyscy powstali od stołu, została chwilę, nie ruszając się z miejsca.

Edwin pożegnał się odjeżdzając do Norton-Bury, wówczas pani Halifax zbliżyła się do panny Sylwer, i położyła jéj rękę na ramieniu. Młoda dziewica zadrżała, silny rumieniec oblał jéj twarz i czoło.

— Czy chcesz pójść ze mną do bibljoteki? zapytała Urszula.

— O tak, już czas na lekcją, gdzież Magdalenka.

— Mniejsza dziś o lekcje mamy o czém inném pomówić. Fineas chodź także z nami.

Głos pani Halifax pełen był słodyczy, poszliśmy oboje za nią.

Panna Sylwer wspomniała coś znowu o lekcji.

— Zaczekaj jeszcze odrzekła matka. Magdalenka potrzebna mi będzie przez kwandrans. Zostań tu dopóki nie powrócę.

— To rzekłszy, udała się do Artura pogrążonego w największéj rozpaczy.

— Mój synu, drogi synu! szepnęła mu do ucha, całując go w czoło, Artur podniósł głowę i z jękiem rzekł.

— Odmówiła mi matko! zawołał, przed chwilą mówiłem z nią, nie ma już dla mnie szczęścia na ziemi....!

W domu głuche panowało milczenie. Urszula po chwilowéj z synem rozmowie spiesznym krokiem pobiegła ku drzwiom prowadzącym do pokoju panny Sylwer, i zatrzymując się przed wejściem, rzekła do mnie.

— Musi w tém być jakieś nieporozumienie. Może jest nie pewna zezwolenia naszego; w takim razie to pięknie i szlachetnie z jéj strony.... Szanuję tę delikatność, lecz pragnę z nią samą pomówić. Nie mogę poświęcać szczęścia syna. Rozumiesz mnie Fineas?

O tak! rozumiałem wybornie, boleść téj nieszczęśliwéj matki.

Pani Halifax weszła do pokoju panny Sylwer, która z oczami zapuchłemi od płaczu, otworzyła drzwi sama. Przez kilka godzin, nikogo nie widziałem. Gdy podano herbatę, pani Halifax z młodą nauczycielką, weszły do jadalnéj sali, nadzwyczaj smutne, i zamyślone.

Ani Janek, ani dwaj starsi synowie, nie byli wcale na herbacie, kiedy głos Janka dał się słyszéć w przedpokoju, panna Sylwer wstała i odeszła z Magdalenką.

— Dobranoc ci rzekła pani Halifax, i ucałowała ją po przyjacielsku.

W téj chwili wszedł Janek z Edwinem; obaj poważną mieli postać, jakby odgadywali co się stało, wieczerza zeszła w milczeniu, potém Edwin wziął świecę i wyszedł.

— Edwinie, pamiętaj, rzekł ojciec.

— Tak ojcze, nie zapomnę.

— Cóż to? zapytała matka o czemże ma pamiętać?

Zamiast odpowiedzi, Janek przycisnął żonę do serca, i poglądał na nią z rzewném współczuciem. Zrozumiała to spojrzenie, wyczytała w niem nowy cios jaki miał ją dotknąć, i nie mogąc dłużéj tłumić boleści wybuchnęła płaczem.

— Wiesz zapewne wszystko rzekła tuląc głow do piersi męża. O Janku! nasze dni szczęśliwe przeszły jak sen! czemuż dzieci nasze przestały już być dziećmi?

— Wszakże one zawsze naszemi dziećmi, moja droga.

— Tak, ale szczęścia, żądają już od drugich. Już my Artura nie umiemy pocieszyć, ani oszczędzić mu cierpienia!

Gdy się cokolwiek uspokoiła, Janek prosił aby mu opowiedziała wszystko co zaszło.

— Panna Sylwer odmówiła Arturowi, rzekła Urszula, kocha innego, wyznała mi to z całą ufnością.

— Cóż to za jeden, nie powiedziała?

— Nie! oświadczyła ze nie może wyznać kto on jest, póki nie otrzyma od niego pozwolenia, nie wie nawet czy kiedykolwiek połączy się z nim, wie tylko że on dobry, że on jeden na świecie nie był dla niéj obojętnym.

— Biedaczka!

— Janku! zawołała nagle Urszula, przypatrując się bacznie mężowi, ty wiesz kto on jest.... znasz tego co zagradza szczęście Arturowi....

— Tak znam go.

Urszula zbladła a Janek mówił daléj po chwili.

— Kochanko moja! wielkie to nieszczęście, ale ani ona, ani Edwin, nie wiedzieli wcale o miłości Artura....

— To Edwin! zawołała matka z boleścią, Edwin! rodzony brat.... więc brat powstanie przeciwko bratu, i miłość braterska przepadnie na zawsze między niemi?

— Droga Urszulo!

— O! moi synowie.... ukochani synowie! A to wszystko przez tę kobietę. Bodajby nigdy nie była wstąpiła w te progi....

— Nie mów tak Urszulo. Pamiętaj że Edwin ją kocha!.... ona będzie żoną Edwina!....

— Nigdy! zawołała matka z rozpaczą. Ja na to nie pozwolę. Artur od niego starszy, brat postąpił zdradziecko i ona także.... Nie Janku, ja nie pozwolę nigdy!

— Nie chcesz pozwolić na to, co Opatrzność zrządziła sama? Urszulo, zapominasz się.

— Myśl moja plącze się bez ładu. Janku tyś silniejszy, wspieraj mnie!

— Biedna matko! szepnął Janek tuląc ją w objęcia.

— Pamiętaj jednak że Opatrzność włada sercami. Zamiast więc narzekać, starajmy się zbadać wszystko dokładnie i stosownie do tego postąpić.

Janek opowiedział wtedy żonie wszystko co Edwin wyznał przed nim, że dawno powziął ku niéj szczere przywiązanie, które ona odpłacała wzajemnością. Tego poranku dopiero zagrożeni bliskim rozłączeniem, wyznali przed sobą własne uczucia po raz pierwszy. Żadne z nich nie wiedziało o miłości Artura. W takim stanie rzeczy, mówił Janek, pozostaje nam tylko położyć ufność w Bogu, który dotkliwe cierpienia, zmienia nam niekiedy w pociechę.

— Prawda mój Janku, odrzekła Urszula, ale powiedz mi tylko czy Artur wie o tém? Trzeba przed nim wszystko zataić, dopóki nie wróci do zdrowia. Edwin pewno nic nie powie....

— Przyrzekł mi to i sądzę że dotrzyma słowa, nie lękaj się niczego.

Ale biedna matka niezaspokojona tém zapewnieniem, nadstawiała trwożliwie ucha, na wszelki łoskot dobiegający z góry.

Artur i Walter zajmowali jeden pokój, Edwin miał osobny dla siebie. W tém nagle dała się słyszéć na górze wrzawa głosów ludzkich.

Cóż to za łoskot? nie zatrzymuj mnie przez litość, zawołała Urszula i pobiegła na wschody, a my za nią postąpiliśmy.

W pokoju Edwina, dwaj bracia którzy od lat dziecinnych nie podnieśli ręki na siebie, trzymając się za barki, stali, szamocąc się i błyskając oczami z wściekłością.

— Arturze! Edwinie! wołała biedna matka!

— Dzieci, zawołał ojciec, rozłączając, synów czyście stracili rozum? Bić się z sobą jak dzikie zwierzęta?

— Nie moja wina ojcze: pocóż wszedł do mego pokoju, i wydarł mi z ręki jéj list!...

— Więc to był jéj list? zawołał Artur grzmiącym głosem, pisała do ciebie? I tyś jéj odpowiedział?

Edwin stał blady jak trup, wyciągnął rękę chcąc pochwycić list z rąk Artura i rzekł.

— Oddaj mi go, natychmiast!

— Przeczytam go wprzód, mam prawo!

— Nie masz prawa, bo list ten do mnie pisany.

— Do Ciebie?

I Artur rozśmiał się szyderczo.

— Tak do mnie, zapytaj ojca, zapytaj matki, oni wiedzą o tém.

— Matko! zawołał Artur, wypuszczając list z ręki, matko ty mnie nie zwiedziesz? On tak umyślnie mówi. Wszak to nie prawda? powiedz....

— Pani Halifax odwróciła głowę, Artur krzyknął z boleścią.

— Edwin! więc to brat mój Edwin!

Edwin uspokojony, schylił się chcąc podnieść list z ziemi, ale Artur rzucił się na niego, i chwytając za kołnierz, zawołał strasznym głosem.

— Nikczemniku! jak śmiałeś.... i w téj saméj chwili opuszczając ręce mówił daléj z boleścią: nie, ja mu nie zrobię nic złego!.... ona go kocha matko, moja matko!

Łkając rzucił się w jéj objęcia.

Matka przycisnęła go do serca, jak kiedy był dziecięciem. Zostawiliśmy ich oboje.

XXXVI.

Północ wybiła. Siedzieliśmy jeszcze z Jankiem przy kominku w bibljotece.

Nie jedną bolesną noc przesiedzieliśmy już razem, żadna jednak nie mogła iść z tą w porównanie. Po raz pierwszy niezgoda powstała w łonie rodziny, tak kochającéj się i zakłóciła domowy nasz spokój. Czuliśmy także jak smutny wpływ, wypadek ten może wywrzéć na przyszłość Artura. Ojciec pojmował to lepiéj od matki, jednakże kiedy Urszula zapewniła nas, że Artur zasnął uspokojony, Janek mimo najsmutnieszych przypuszczeń, nie tracił nadziei, i ożywiał ją w bolejącém sercu żony.

(d. c. n.)



2460

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Nru 19